TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 20. *Chicago, Ills., 12 Listopada, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —
WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

— Przepraszam mocno Waćpana — pocznie mówić — że go budzę, ale kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, a do Waszmości to przysłowie *acurate* się stosuje, bo zaprawdę, jakem szlachcic i oficer, sam Pan Bóg daje Waćpanu piękną rangę za bezcen!

Ja go przywitałem grzecznie i na pozór z szczerą miną, ale pomyślałem sobie w duchu:

— Ranoś ty się i na mnie wybrał, człowieczku, i da tobie Pan Bóg także czegoś wart, pogański synu!

Nie pokazując po sobie wstrętu, jaki czułem do zdrajcy, pragnę z nim mówić o interesie, a w tejże chwili pojawił się także Wedelsztedt, którego ja na świadka wczoraj zaprosiłem.

— Pokaż Waćpan teraz papiery, czyli w porządku są, jak należy? — mówimy.

On wyjął z kieszeni dokumenta wszystkie, wydemonstrował i wywiódł całą sprawę dokładnie i o przybicie targu naglił, bo powiadał, że mu spieszno bardzo. Ja dla lepszej symulacyi certowałem się jeszcze trochę, niby to chcąc

jeszcze coś z ceny poderwać, a w gruncie i sam się już niecierpliwiłem, aby cała rzecz już raz się ułożyła. Patrzał on pewno na mnie, jak na dudka, co na lep lezie — nie wiedząc o tem, że jego samego w sieci biorę.

Dokumenta były wszystkie w najlepszym porządku, tak jak je od Paszyca wziął był onym niecnym zastawem. Doręczył mi tedy Borawka najpierw regres formalny Paszyca, w który moje nazwisko wpisał, wydał mi jego patent, kartelusz żołdowy i inne certyfikaty i opisy, a nadto, jakem tego po nim koniecznie wymagał, oddał także oblig fantowy Paszyca i opisał się rewersem, jako już ani ja, ani antecesor mój, ani też sukcesor na mojej chorągwi dragońskiej w regimencie JWPana Koniuszego Wielopolskiego do żadnych wexacyj ani obowiązków pociąganym być nie może — a ja też sięgnąwszy do mieszka, który z łaski pana ojca i brata Andrzeja był zapaśny, wyliczyłem mu 6,000 złotych.

Domagał się zdrajca koniecznie jeszcze, abym mu coś szarfowego nałożył, ale ja tego słuchać nie chciałem, mówiąc mu:

— Kuso mi w mieszku, panie bracie, zabrawszy tych 6,000 już kieszeń moją chudą wypłukałeś Waćpan do czysta. Jak się spotkamy, z pierwszego żołdu dorzucę.

— Dajże mi Waćpan zarobić choć na moderunku; wszystkiego Waćpanu dostarczę, od kapelusza aż do ostróg i rzuć Waćpan zadatek, bo jadę jutro, a kto inny cię zedrze...

Tak to ten łotrzyk chciał mi gdzieś aż z pod żebra jeszcze grosz wycisnąć, ale się zbyłem w końcu natręta. Łypnąwszy na mnie swemi zdradzieckiemi oczyma, pożegnał się ze mną i wybiegł szybko.

Skoro już wyszedł, ozwę się do Wedelsztedta:

— Aż do tej chwili byłem bezpieczny; ale teraz, kiedy Borawka wziął już pieniądze, każdej chwili azardować się muszę na zasadzkę, a moja skóra jest pod obławą. Weźże ty panie oficerze, wszystkie te papiery i tę oto kaletę z złotem, bo co wiedzieć, czy mimo wszelkiej prekaucyi nie wezmą mnie żywcem lub krytym sztychem nie zgładzą. Jużeśmy teraz jakby na wojnie.

Tak rozmawiając o tej całej przygodzie, czekaliśmy aż przyjdzie Deibel, a gdy ten nareszcie się pojawił, wyszliśmy we trzech na miasto. Oprócz szpad, mieliśmy wszyscy przy sobie po parze pistoletów, ostro nabitych, a dla większej ostrożności, ja zawsze szedłem w środku, zaś oni obaj po moich bokach.

Chodząc po mieście, bacznie się zawsze rozglądaliśmy, czy też nas kto nie obserwuje szpiegowskim sposobem, ale nic podejrzanego nie widzieliśmy. Ja ciągle uważałem, czy też gdzie Scherweina nie ujrzę, ale mi się nie zjawił nigdzie w mieście. Tak do samego południa nie rozstawałem się z Deiblem i Wedelsztedtem, ale idąc na obiad do gospody, tak rzekłem do nich:

— Dziękuję ja wam z serca, przyjaciele moi, że mnie tak własnem swojem zdrowiem asekurować chcecie, ale to tak być nie może; tożby to śmieszno było, żebyście mi za lajbgwardyę służyli. Dziś jeszcze to dzień cały z sobą spędzimy, ale jutro zaraz z rana ja do trybunału i do grodu idę, tam się opowiem, i z łatwością to sprawię, że się polowanie zmieni, bo mi dadzą patrol, a ja tych łotrów sam pochwytam. Niech się potem przeposzczą *in fundo*, a dostawszy na odwachu trochę plag na pamiątkę, niech sobie pójdą z raportem do pana grafa Koggeritza. To mi wystarczy za satysfakcyę.

Zgodziwszy się na to, że jutro pojedziemy wszyscy razem do trybunału i po formie zażądamy rygoru przeciw opryszkom, na wolność szlachcica godzącym, udaliśmy się do Mursza na obiad. Tu mi naraz jeden z pachołków winiarnych podaje mały kartelusz opieczętowany, mówiąc: „Wyrostek jakiś dworski z pod Radomia dla pana rotmistrza zostawił".

Zdziwiony, ktoby tu w obcem dla mnie mieście mógł mieć do mnie interes, otwieram list i czytam, jak następuje:

„Kochany kolego i miły panie bracie!

„Traf to dziwny ale dla mnie nader przyjemny i upragniony, że się tu w własnym kraju niespodziewanie spotykamy. Z takowej szczęśliwej korzystając okazyi, przypominam się Waćpanu, jako *olim* dobry znajomy i towarzysz z pruskiego wojska, i proszę Go, byś mnie dziś w Rozworzu, o ćwierć mili za Radomiem, gdzie u mego wuja JMĆ Pana Gawińskiego bawię, dziś wieczór koniecznie nawiedził, na to uprzejmy wzgląd mając, że w przykry sposób na zdrowiu niedyspozytem będąc, sam Waćpana odszukać w Radomiu nie mogę.

Zawsze Waćpana Dobr. miłego mi pana brata i *commilitona* z szczerym affektem przyjaciel i *alter Kamrad*

Major Jasiński.

P. S. Do Rozworza z Radomia przy dzisiejszej dobrej pogodzie spacerem miła a krótka droga, a napowrót, jeśli spieszno będzie, nie nocowawszy wracać, końmi wuja mojego odprawię".

Przeczytawszy list ten z wielkiem zdziwieniem, bo istotnie tego Jasińskiego znałem. Było dwóch Jasińskich w wojsku pruskiem za moich czasów; jeden był już pułkownikiem gwardyi, kiedym ja jeszcze jako gemejne zaczynał gryźć chleb żołnierski, i ten pułkownik Jasiński, w którego regimencie ów sławny z swych przygód baron Trenck służył, sprowadził był z Polski swego synowca, aby fortuny między Niemcami szukał. Owoż tego drugiego Jasińskiego poznałem był już jako oficera w Poczdamie, a później w jednej z nim brygadzie będąc, spędziliśmy cały długi kampament na Szlązku.

Mogło to być tedy na prawdę, że ten Jasiński pod Radomiem będąc, a o mnie się dowiedziawszy, ten list pisał — ale zaraz też na myśl mi przyszło, czy to nie pierwsza zasadzka na mnie za miasto samego wywabiać. Pokazuję ja kartelusz ten moim przyjaciołom, a Deibel przeczytawszy go, rzecze:

— Owo dali znak o sobie urwisy! Toć Waćpanu mówić nie potrzebuję, że to jest pisanie Urjaszowe! Chcą cię mieć w polu, panie Narwoj!

— Jakże mam zrobić? — pytam Deibla.

— Nie iść, bo łapka.

— A ja myślę, że pójść odpowiem — bo *primo* co wiedzieć, czy to Jasiński istotnie sam nie pisze, a *secundo* jeśli to zasadzka, to dobrzeby ich zejść na gorącym uczynku. A gdybyśmy wyszli sobie tak po obiedzie piechotą ku Rozworzu? We trzech by nas nie ruszono, a gdyby na nas uderzyli, to się nie damy...

Deibel i Wedelsztedt zgodzili się na to po krótkiej deliberacyi; a tak dobrze przed wieczorem, opatrzywszy raz jeszcze pistolety, poszliśmy wolnym krokiem za miasto.

Nie szliśmy jeszcze ćwierć godziny, kiedy ujrzeliśmy na sto kroków przed sobą dużą, krytą furę trzema końmi uprzężoną. Idziemy ku niej dalej, mijając maleńką karczemkę, kiedy naraz kilku drabów wypada z niej na drogę i odtrącając na bok Wedelsztedta i Deibla, na mnie kupą uderza... Anim się nie opatrzył, a już te łotry czepiły się mnie ze wszech stron jak pijawki, a jeden z nich usta mi kneblował,

Byłem za młodu silny okrutnie i nie tak łatwo kto mi sprostał; skurczyłem się też i zwinąłem się w sobie a potem nagle z wielkim impetem rozrzuciłem się cały, nogami i ramionami rum sobie czyniąc, a tak żwawo, że napastnicy owi odskoczyli odemnie, jak piłki... Co żywo odskoczyłem o kilka kroków w tył, prawą ręką chwyciłem szpadę, lewą pistolet, a tu widzę, jak trzech drabów okrutnie cisną szablami na Wedelsztedta i Deibla, którzy nawet pistoletów dobyć nie mogą i tylko szpadami się kryją, jak mogą.

Na mnie zaś sadzi trzech innych, dwóch z pałaszami, a jeden powrozy mając w ręku. Ten trzeci to był sam Schwedicke. Odskoczywszy w tył trafiłem szczęśliwie na wierzbę; o nią się oparłszy z determinacyą czekam ataku, a pewno z prawdą się nie minę, jak powiem, że mi markotniej było o Deibla i Wedelsztedta, niż o mnie samego. Ci dwaj z pałaszami, co na mnie nacierali, byli to podoficerowie z mojej niegdyś chorągwi, poznałem ich zaraz, choć przebrani byli w mieszczańskie kapoty.

Spojrzałem na nich ostro i zawołałem po niemiecku:

— Słuchajcie Hollauf i Lipka! (tak się nazywali), ja komenderuję: stać! a jak nie staniecie, to dam ognia, a ty wiesz jeden z drugim, że ja strzelać umiem i nigdy nie chybiam!

Oni się na chwilkę zawachali, ale Schwedicke dobywszy także krucicy, krzyknął na nich: *Pack an!* Natarli na mnie, a ja do Boga westchnąwszy, że krew ludzką przelać muszę, mierzę w sam chudy łeb Schwedickego i palę. Myślałem, że jak jego sprzątnę, to tamci tak na mnie srodze nastawać nie będą, bo swojej racyi ku temu nie mają, a jeno za rozkazem ślepo idą. Mierzyłem nie dobrze, bo strzał padł... ale Schwedicke został cały...

Nie miałem już czasu dobyć drugi pistolet, i już poprzestać musiałem na samej szpadzie. Broniłem się zaciekle, ale przeczuwałem, że mi tu już koniec będzie, bo Wedelsztedt był już rozbrojony, a Deibel z okrutną biedą tylko się odcinał...

Owo już tylko miałem to na myśli, aby się żywcem nie dostać do rąk tych oprawców, ale do ostatniego tchu bronić się i tak umrzeć. Gdy się tak bronię z desperacyą, kanalia Schwedicke podsuwa się z swym powrozem po za wierzbę ku mnie; płatnąłem go trochę w odlew, ale

ledwie go szpada pomacała a ja sam tymczasem żem się był odsłonił, po mankiecie wziąłem od sierżanta Hollaufa, aż mi mało szpada z rąk nie wypadła.

— Strzelaj kto może! — zawołałem na Wedelsztedta, który rozbrojony, umykając, jak długi się położył.

Na ten krzyk zerwał się Wedelsztedt z ziemi, umknął się dalej jeszcze, i paff! paff! dwa razy palnął do Schwedickego, ale zamiast go ubić, mnie mało życia nie pozbawił, bo kule tuż nad moim kapeluszem w wierzbę powsadzał...

Kuso już było z nami, a najbardziej ze mną, i już wszelkie speranse życia straciłem, gdy oto nagle zasłyszałem tentent konia i okrzyk głośny, potem dwie pistoletowe salwy. Schwedicke zwinął się jak kłębek, rzucił się do góry, zadrgał i jak snop na ziemię się potoczył.

Moi przeciwnicy zatrzymali się na chwilę w swym impecie, snać skonsternowani śmiercią swego herszta. Rzucam wzrokiem przed siebie, zkąd mi ten sukurs spadł tak niespodzianie, i widzę pana Jacka Szturrawskiego, Towarzysza pancernej chorągwi, jak siedzi już na karku tym dwom Prusakom, którzy na mnie nacierali.

Moi Niemcy teraz *fugas*, i nuż się rejterować do owej bryki, która stała opodal — a my sadzimy za nimi. Dopadli przecież owej fury, bo Szturrawskiemu koń się znarowił, a my z Deiblem dogonić ich nie mogli. Jeden z nich odwrócił się ku mnie i kapeluszem się pokłonił. Był to poczciwy Scherwein, do którego ja krzyknąłem:

— A pozdrów tam pana obersztera!

— *Gruess' Gott*! — zawołał Scherwein, jakby nic nie zaszło, i bryka w największym pędzie poleciała dalej.

Kiedyśmy już trochę ochłonęli po tej żwawej potyczce, ja najpierw pobiegłem do Schwedickego, aby zobaczyć, czy też ratunku jakiego dać nie można, bo chociaż on mnie nieszczęśliwym chciał zrobić, to mi przecież żal było człowieka. Opatrzyłem go i poznałem, że już nie żył — a człek miał w tem trochę praktyki bo się na to w lazaretach i na pobojowiskach napatrzył.

Zwróciłem się potem ku Szturrawskiemu, który z konia zsiadłszy jak tryumfator pokręcał wąsa, i rzekłem doń grzecznie:

— Mości panie Towarzyszu, podwójnie to szlachetnie ze strony Waszmości, żeś dał sukurs człowiekowi, którego niejako za adwersarza Waszmość uważać masz prawo, bo na nim satysfakcyi honoru swego jutro właśnie masz poszukiwać. Przyjmże Waszmość Panie Towarzyszu wyraz najszczerszego affektu wdzięczności, boś mnie z rąk złoczyńców salwował....

Mówiąc to ręki mu jednak nie podałem, bojąc się, aby obrazy niedawnej pamiętny, dłoni mi swej nie umknął.

— Chwałaż Bogu — ozwał się na to pan Szturrawski — że to, jak Waćpan powiadasz, łotrowie byli, bo jużem się frasował o to, czym trafunkiem jakim głupstwa nie zrobił.... Bo to widzisz Waszmość, już ja taki z przyrodzenia, że kiedy zobaczę, że się gdzie rąbią lub biją, to mi tak dłoń świerzbi, że się *volens nolens* wmięszać w to muszę. A potem mówią mi moi przyjaciele: ,,Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo"! Nie dawno temu na sejmiku powstał tumult, a choć nie wiedziałem o co idzie, dalej między szlachtę z szerpentyną, tego po czuprynie, tego po karku, nie dyscernując, z jakiej tam który partyi. Jednemu szlachcicowi nos odciąłem, drugiemu łysinę naznaczyłem — a potem kłopot, i znowu mi moi sąsiedzi: ,,Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo". Innym razem pobili się na jarmarku w Radomiu szewcy, owo licho mnie wzięło....

— Tym razem Waszmość nie zrobiłeś głupstwa — przerwałem p. Szturrawskiemu — ale przeciwnie dobrą sukursowałeś sprawę.

I tu po krótce opowiedziałem mu wszystko. Wysłuchał on tego z wielką indygnacyą i snać go tak mocno uradowało, że tak szczęśliwie trafił.

— Patrzże Waćpan, patrzże Waćpan, co to za wypadek *mirabilis*. A ja właśnie jechałem do Radomia, na ten jutrzejszy pojedynek, i aby z przeproszeniem Waćpana, wytrzepać mu kurtę dragońską, a tymczasem w salwatora się zmieniłem.

Kiedy on tak mówi, ja tymczasem czuję, że mi się coś ciepło robi pod karwaszem; ściągam tedy rękawiczkę i patrzę, aż tu karwasz przecięty i z ręki krew mocno płynie. Dobyłem chustki i obwiązując ranę, mówię:

— Bardzo mi to przykro, że Waszmość intencyi swojej jutro zadosyć nie uczynisz, bo owo widzisz Waszmość, pomacał mnie niecnota pałaszem..

— *Est modus in rebus, est modus in rebus* — odparł p. Szturrawski — czytałem ja czy słyszałem kiedyś, że jeśli się kogo na rękę wyzywa, to dla tego, aby dać dowód rycerskiego animuszu w obronie honoru. Owo jak myślisz Waćpan, czy nie okazałem ja w tej dzisiejszej okazyi animuszu, bo że Waćpan sobie mężnie poczynał, kilku drabom dostawszy placu, tom już jako naoczny spektator widział .. Chodziłoby jeszcze tylko o obronę honoru... Hm... hm... Mości panie oficerze, ja doprawdy nie pamiętam, jak tam było u Mursza. Tylko mi znowu nazajutrz nad uchem klepali towarzysze: „Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo!" Oto wszystko, co sobie zmiarkowałem... Powiedz mi Waćpan, kto kogo obraził, i niechaj ten tego przeprosi. Ja nie pamiętam o niczem.

— Kiedy Waćpan nie pamiętasz — ozwałem się ja na to — to i ja już zapomniał, a kiedy już rzecz jaka zapomniana, to tak jakby jej nie było, a jeśli jej nie było, to o co sobie łby rozbijać?

— Wydedukowałeś Waćpan tę rzecz jak Cycero, albo jakowy inny mądry poganin. Niechże Waćpana uściskam i chodźmy do Mursza! — zawołał p. Towarzysz.

— Nim pójdziemy do Mursza, musimy przedtem wstąpić do tej owo karczemki — ozwał się teraz Deibel — bo i ja lekko raniony jestem a Wedelsztedt także. A z ubitym Niemcem także coś zrobić trzeba.

Zgodził się na to p. Towarzysz, a tak wzięliśmy trupa i zanieśli do karczemki. Schwedicke miał głowę roztrzaskaną, kula na wylot czaszkę przebiegła. Złożywszy zwłoki na ławie, poszliśmy wołać żyda, ale ten przestraszony schował się gdzieś w najskrytszą dziurę. Musieliśmy tedy sami szukać wody, aby rany obmyć i jako tako opatrzyć, nim do miasta wrócimy. Wedelsztedt zaglądnął do małego alkierza a wróciwszy naraz zawołał:

— Pójdźcież Waćpanowie tu, coś wam pokażę.

Idziemy za nim, a on pokazuje nam parę ogromnych ostrogów, wyglądających z pod betów żydowskich. Chwycił Szturrawski za ostrogi obu garściami, szarpnął — i owo wyciągnął na wierzch, kogo?... domyślicie się już chyba, że Borawkę. Snać pan rotmajster i agent militarny wszech dworów europejskich, wybrawszy się na wyprawę wraz z Schwedickem, tutaj zwierzyny ułowionej oczekiwał, a usłyszawszy bitwę, w strachu takowe sromotne *refugium* sobie upatrzył.

Jak nas tylko obaczył Borawka, tak padł zaraz plackiem mnie do nóg, prosząc, bym mu życia nie brał, i tem się niecnota z swego nieczystego sumienia sam zdradził. Ja nie mogłem odmówić sobie tej satysfakcyi, że go ostrogą od siebie odtrąciłem, mówiąc:

— Pójdziesz z nami na odwach, psi synu!

Przez cały czas, kiedyśmy nasze rany opatrywali, infamis ów w błocie leżał, o litość prosząc, a zębami szczękając. Gdyśmy już byli gotowi, Szturrawski z ziemi go podniósł i płazem chciał oćwiczyć i ledwie go od tego instancyą moją ochroniłem. Przytroczył tedy Towarzysz p. rotmajstra do konia i tak z sobą do Radomia przystawił, gdzieśmy go zaraz na hauptwachu oddali. Następnie do kancelaryi komisarskiej razem poszedłszy, wszystko jak było do akt podaliśmy. Borawka poszedł zaraz do wieży, bo przy Schwedickiem znaleziono papiery, które szpiegostwo jego i współwinę w tym całym wypadku jasno wykazywały.

Tak załatwiwszy, co było potrzeba, poszliśmy do winiarni Mursza, aby odetchnąć i po tak gorącej przyprawie pokrzepiać się nieco. Tu słyszę na wszystkie strony: „Mier przyjechał! Generał Mier jest w Radomiu!" Zaraz mi wpadło na myśl, czyby to nie dobrze było, pójść wprost do generała tego, zaprezentować się i o wakancyę jaką prosić. Potwierdzili mnie w tej myśli Wedelsztedt i Deibel, jakoż tak uczynić zaraz nazajutrz postanowiłem.

Tymczasem czekałem jeszcze, czy nie nadejdzie Paszyc, ale gdy już wieczór się zrobił, a jego nie było, pożegnałem obu moich przyjaciół i p. Towarzysza Szturrawskiego i poszedłem do kwatery Paszyca. Zastałem go w wielkim frasunku, tam i sam chodzącego po izbie. Wynędzniał nieborak od ciężkiego zmartwienia i wysechł, jeno oczy czarne paliły mu się jakoby płomieniem, mając aliment swój w desperacyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KOT ROZPĘDZA MIESZKAŃCÓW CAŁEJ WIOSKI.

Starożytne podanie głosi, że myszy zjadły Popiela w Kruświcy. Powszechnie panuje przekonanie, że to bajka, gdyż myszy są tak bojaźliwe, że nietylko na człowieka, ale i na małe nawet zwierzęta się nie rzucają. Jednakże trzeba wiedzieć, że dziś wszędzie są koty, które tępią myszy, a bardzo dawnemi czasy w naszym kraju kotów nie było. Przyszły one z południa z Afryki; dla tego lubią bardzo ciepło. Otóż wystawmy sobie, co to się działo dawniej, kiedy koty były u nas nie znane. Jeśli jeszcze do myszy dołączyłyby się szczury, wtedy nie byłoby nic niepodobnego, aby te dwa gatunki zwierząt nie mogły zagryzać ludzi. Dość na tem, że w pewnej wsi przed kilkuset laty myszy i szczury latały stadami, a tak były zuchwałe, że kiedy ludzie zasiedli do jedzenia, drapały się na stół i zabierały sobie najlepsze kąski. Nic nie pomogło, że je bito lub zabijano, gdyż choć i kilka szczurów lub myszy było zabitych, inne były tym więcej natarczywe.

Zdarzyło się, że przez tę wieś jechał jakiś panicz z dalekiego kraju na koniu, a że był to wielki lubownik kotów, przeto miał ze sobą nawet zawsze jednego w podróży. Kot się tak był przyzwyczaił do konnej jazdy, że siedział na siodle nic nieporuszony. Ten panicz wszedł z kotem do karczmy, gdzie szczury i myszy jak owce biegały. Zobaczywszy to kot, rzucił się na nie i zaczął je gryźć i mordować. Niedługo leżały całe kupy myszy i szczurów. Dziwowali się wielce temu gospodarze i w ogóle mieszkańcy wioski, gdyż podobnego zwierzęcia nigdy nie widzieli. Nakoniec zapytali się: co to za zwierzę? Ów panicz, jako z niemieckiego kraju pochodzący, nie umiał wiele po polsku, przeto nie mógł im powiedzieć nazwiska przeciwnika mysiego i szczurzego rodu, dopiero służący, umiejąc nieźle po polsku wytłómaczył, że zwierz ten nazywa się kotem, który tępi myszy i szczury.

Gospodarze zaczęli się naradzać, aby kupić tak użyteczne zwierzę, żeby się uwolnić od myszy i szczurów. Zatem przystąpili do owego podróżnego i zapytali się, coby chciał za tego kota? Ponieważ, jak już powiedzieliśmy, ledwie kilka słów umiał po polsku, przeto przez służącego kazał im powiedzieć, że żąda za kota sto złotych. Powiedział to na żart, gdyż nie myślał, aby tyle pieniędzy dostał, gdyż w jego stronach za kilka złotych chętnie kota sprzedano. Mieszkańcy jednakże tej wioski, bardzo od szczurów i myszy dręczeni, wnet 100 złotych zebrali i przynieśli. Podróżny niechętnie rozstawał się z kotem, ale że dał słowo, a 100 złotych też piechotą nie chodzi, przeto zostawił im kota w karczmie, dosiadł konia i ruszył dalej w drogę z służącym, który jechał na drugim koniu.

Dopieroż to uciecha we wsi, że wkrótce robactwo będzie wytępione. Z tego powodu zaczęła się pijatyka, gdyż trzeba było zapić takie ważne kupno. Gdy tak w najlepsze piją, a kot myszy i szczury morduje, wtem jeden z gospodarzy krzyknie: Moi kumotrowie zapomnieliście się zapytać owego Niemca, czem ten kot żywić się będzie kiedy wszystko wydusi? Cała gromada przyznała słuszność mówiącemu, zatem wybrano posłem Macieja, który miał szybkiego konika, aby gonił czemprędzej owego cudzoziemca. Maciej wnet też dopędził podróżnego i zapytał się: Mospanie Niemcze, a co ten kot jeść będzie, gdy wszystkie szczury i myszy wydusi? Podróżny, nie zrozumiawszy zapytania, rzekł „Was?” tj. „Co?”, bo Was w niemieckiem znaczy co. Pan Maciej zaś rozumiał, że Niemiec mówił: „was” tj., mieszkańców wioski ów kot jeść będzie, dla tego nie czekając dłużej, czemprędzej konia zawrócił i największym galopem pospieszył do domu, oświadczając tę smutną nowinę: „Mości panowie, Niemiec powiedział, że jak wszystko wydusi, to nas jeść będzie.”

Powstała wielka trwoga. Gospodarze krzyknęli: „Ratujmy nasze żony i dzieci.” Zaraz wynieśli się ze wsi, poszli do lasu, gdzie się rozłożyli obozem. Karczmę z kotem zatarasowali, okien-

nice zamknęli i napisali na drzwiach: „Tu powietrze zaraźliwe.” Uczynili to w tym celu, aby się podróżni nie dobijali, przez coby mogli kota wypuścić.

Kot przez kilka dni siedział w ciemnej izbie, żywiąc się myszami, potem wyszukał sobie wyjście na dach, gdzie sobie wylegiwał. Zwiedzał i inne domy, ale karczmę obrał sobie za główną siedzibę, Po 4 tygodniach gospodarze w nadziei, że kot już nie żyje, wysłali znowu Macieja na zwiady. Ten dosiadłszy konia puścił się do wsi, a przyjechawszy przed oberżę, otworzył okiennicę, aby się przekonać czy nie leży gdzie owa ludzi pożerająca bestya. Kot, zobaczywszy człowieka, ucieszył się wielce, spuścił się zatem zaraz z dachu i wskoczył na siodło, gdyż do tego był przyzwyczajony. Przeląkł się okropnie Maciej, zaciął więc konia i w największym galopie puścił się do lasu, chwytając się raz po raz za gardło, aby go kot nie ukąsił. Nareszcie zeskoczył z konia, który z kotem pędził prosto do obozowiska. Gospodarze, zobaczywszy kota na koniu, wydali okrzyk rozpaczy, a niewiele myśląc, zaczęli uciekać na wszystkie strony. Kto wie: co byłoby się jeszcze stało, gdyby właśnie nie nadjechał ów podróżny z służącym, który nareszcie objaśnił mieszkańców dokładnie co do kota. Wrócili do wioski, wielce zawstydzeni, że się ulękli takiego małego zwierzątka. Z tego widać, do czego prowadzi ciemnota i zbyteczna obawa.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Na cóż ci się to przyda?

— Daj mi je, proszę. Wolę je niż wszystko złoto tych stref dalekich zkąd były pisane. — Któż to wie, może od nich zawisło szczęcie moje!

Chociaż poczciwa kobiecina nie umiała sobie wytłumaczyć, jakim sposobem listy niewdzięcznika, zmarłego już może od wielu lat, miały przyczynić się do szczęścia jej przybranego syna, nie omieszkała jednak przychylić się do jego żądania. Otworzywszy starą komodę i przerzuciwszy mnóstwo różnorodnych fatałaszków, jakie się tam bezładnie pomięszały, wyjęła pakiecik listów związanych czarną wstążką razem. Niektóre były pisane do dzierżawcy, inne do wdowy Musgrove.

— Weź-że je sobie, Harry, — rzekła, podając mu zwitek papierów; — chociaż nie pojmuję, jak mogą cię uszczęśliwić.

Jej bratanek rozwiązał spiesznie paczkę i przebiegł wzrokiem dwa czy trzy listy, między temi ostatni, który młody Musgrove pisał

do matki donosząc jej o swem ożenieniu. Czoło i cała twarz Henryka pokraśniała czytając to pismo, a wyraz pogardy i tryumfu zabłysnął w jego oczach.

— Harry! Harry! — zawołała staruszka, — co tobie się stało, mój chłopcze?

— Nic... to nic!.. I ten co pisał te listy, Ryszard Musgrove, był jak powiadasz, wysłany do Indyi kosztem mego stryja?

— Rzeczywiście, i to dużo kosztowało, bo stary nie był jeszcze wówczas tak majętnym jak teraz.

— I ojciec jego był marszałkiem w opactwie Carrow?

— Tak jest, marszałkiem czyli klucznikiem, więcej niż trzydzieści lat. Wiele osób sarkało na to, że nieboszczyk baronet nic po śmierci starego sługi dla jego wdowy i pozostałego dziecka nie uczynił; ale gadano coś o nadużyciu zaufania, o przepadłych pieniężnych kwotach dosyć znacznych; Bóg jeden wie ile w tem prawdy było; dla tego też nie lubię powtarzać takich rzeczy..... Ale oto stryj idzie..... niech nie widzi tych listów!

W okamgnieniu nasz bochater schował je do kieszeni. Niebawem potem wyszedł by swobodnie oddać się całej radości swojej.

Sędziwa matrona powiodła za nim wzrok czuły i troskliwy. Nie zrozumiała jego postępowania. Dla czego zwój starych listów w takie uniesienie radosne go wprawił? Pokręciła głową, przypisując to wszystko nauce greckiego języka, jak to miała w zwyczaju czynić, ilekroć nie umiała wytłumaczyć sobie czynności swego ulubieńca.

— On mnie chce upokarzać! powtórzył może setny raz Henryk Ashton, gdy w kilka godzin później, zwrócił swe kroki do Carrow-Abbey. — Chce mnie zgnieść pod brzemieniem wzgardy, ha! ha! ha!... dać mi uczuć moją nikczemność w obecności Elleny! a więc dobrze! zobaczymy! Wyrwałem jad żmii, i nie lękam się już ukąszenia gadu!

XXI.

Już od dawnego czasu sir Jasper Pepper pragnął niezmiernie zaznajomić się z szlachetnym właścicielem Carrow-Abbey. Postanowił więc korzystać ze zręcznej sposobności, jaką mu nastręczała bytność brata sir Williama u niego, i pomimo, że gość udawał, jakby się nie domyślał jego życzeń, sir Jasper tak mu nakoniec jasno wyłożył swe chęci, iż trudno było odmówić, bez obrażenia go, i pułkownik widział się zmuszonym przychylić się do żądania swego uprzejmego gospodarza.

Ale zakłopotanie jego jeszcze się zwiększyło, kiedy jenerał Bouchier i synowiec tegoż, kapitan Herbert oświadczyli, że im będą towarzyszyć. Domyślać się trzeba, że Miran-Hafaz należał także do tego grona.

— Nie wiem nawet jak nas brat mój przyjmie, — mówił pułkownik w drodze. — Wiadomo wam moi panowie, że od czasu owego nieszczęsnego zajścia z kapitanem Lucas a żoną swoją, baronet prowadzi życie pustelnicze.

— Ten Lucas, jeżeli się nie mylę, był z liczby pańskich przyjaciół, — powiedział jenerał przerywając mu.

— Rzeczywiście, — odrzekł pułkownik; — i tej to okoliczności przypisuję oziębłość brata ku mnie. Nie mógł mi przebaczyć, żem tego kapitana Lucas jego żonie przedstawił..... jakbym ja miał przewidywać co z tego wyniknie, — dodał, przymuszając się do uśmiechu.

Z całego towarzystwa, jeden tylko Indyanin zdawał się zastanowiony temi słowy, i zwrócił przenikliwe spojrzenie na mówiącego, który spuścił oczy z pomięszaniem przed wzrokiem Mirana.

— On to przewidywał! — mruknął ten ostatni, a to przekonanie jeszcze wzmocniło pogardę jego dla nikczemnego sprzymierzeńca.

Chociaż sir William Mowbray wcale nie był uradowany z tego tłumnego najazdu, powitał jednak gości z tym nieokreślonym wdziękiem właściwym tylko małej liczbie magnatów, który da się przyrówniać do gładkości i lodowatości marmuru. Nic nie było w jego przyjęciu takiego, czemby najdraźliwszy gość mógł się obrazić, ale też nic nie zachęcało do powtórzenia odwiedzin.

Kiedy sir Jasper nie mógł się dość nachwalić piękności położenia Carrow-Abbey i z przesadą zachwycał się starożytnością rodu Mowbray'ów, samotnik uśmiechnął się tylko zamiast odpowiedzi.

— Pan musisz być bardzo szczęśliwy z tak pięknem nazwiskiem historycznem i tak wspaniałą rezydencyą — jak zamek Carrow — dodał mały dyrektor Wschodnio-Indyjskiej Kom-

panii. — Wszystko tutaj, nawet gawrony, mają coś w sobie arystokratycznego!

Baronet z trudnością mógł przytłumić westchnienie. Nic nie można było powiedzieć niestosowniejszego, nad to wystawienie szczęścia, które wcale nie było udziałem sir Williama; ale sir Jasper zbyt był ograniczony w swych pojęciach, aby się nawet domyśleć potrafił, jak bolesną rozkrwawił ranę swemi niebacznemi pochlebstwy.

Miran spojrzeniem przypomniał pułkownikowi, by zapytał o Ellenę. Nieobecność jej zazdrością i żółcią przepełniała serce Indyanina.

— Gdzież jest moja siostrzenica? — zapytał gracz.

— Wyjechała konno z moim kuzynem, Walterem — odpowiedział mu brat — muszą być niezawodnie w gaju.

Miran miał ochotę spytać się, czy jego rywal jest także z nimi, ale wstrzymało go od tego uszanowanie, jakie czuł mimowolnie dla sir Williama.

Rozmowa ta odbywała się na trawniku, który się przed zamkiem rozścielał, gdzie baronet zwykł rano przechadzać się, i gdzie go zastali przybywający goście.

Po niedługiej chwili ukazał się Henryk Ashton. Jego przybycie choć z jednej strony oswobodziło serce zazdrośnika ze srogiej męczarni, zadawało mu inną boleść niemniej dotkliwą dla jego dumy. Młodzieniec bowiem został powitany przez baroneta prawie z serdecznością ojcowską, który wziął go pod ramię poufale i przedstawił przybyłym, wyjąwszy brata i Mirana, których Henryk poprzednio już był poznał. Pułkownik zimno mu się skłonił, Indyanin udał, że go nie postrzega.

— Poczekam jeszcze! — rzekł w duchu nasz bochater — on chce mnie poniżyć w przytomności Elleny; otóż i ja go upokorzę w obec niej!

Całe towarzystwo udało się szpalerem ku jezioru wiodącym, zkąd niebawem postrzegli w niewielkiej odległości, cioteczne rodzeństwo w towarzystwie jadącego z nimi Marcina.

Skoro Walter i Ellena poznali wuja i gości jego, zwrócili swe rumaki w tę stronę. Wiedzeni tem samem uczuciem, Henryk i Miran postąpili jednocześnie, aby pomódz pannie de Vere zsiąść z konia. Indyanin chciwy odniesienia pierwszeństwa przed swym przeciwnikiem, schwycił wierzchowca za uzdeczkę, który natychmiast dęba stanął, nieprzywykły do tak porywczego obejścia.

Chwila zamięszania jaka ztąd powstała, pozwoliła naszemu bochaterowi zbliżyć się z boku do konia i ująć w swe objęcia odważną amazonkę, zeskakującą z siodła. Wszystko to stało się bardzo szybko, i Ellena witała się już z pułkownikiem Mowbray, który jej swoich przyjaciół przedstawiał, nim jeszcze Miran ochłonął z przerażenia.

— Powinienbyś pan zachować większą ostrożność, zbliżając się do konia! — zawołał z gniewem Indyanin. — Pańska niezręczność omal nie naraziła życia miss Vere!

— Powiedz pan raczej, że to popędliwość pańska! — odpowiedział Henry Ashton z wyzywającą oziębłością. — Pocóż było tak nieuważnie szarpać za uzdę? To wszystko może być, że uchodzi w Indyi, gdzie ludzie i konie inaczej są wychowani!

Nastała chwila złowrogiego milczenia. Biedna Ellena, drżąc na myśl samą sprzeczki między tymi dwoma szaleńcami, usiłowała ich ułagodzić. Podała rękę Miranowi, upewniając go, że jej żadne nie groziło niebezpieczeństwo, i prosząc, aby już nie myślał o tej drobnostce.

— To zuchwalec! — mruknął Walter Mowbray, ściskając za rękę Henryka, co wcale nie podobało się jego ojcu. — Możnaby mniemać, że on szuka z tobą zaczepki.

— Niech przyjdzie! — odparł Henry — znajdzie mnie gotowego.

Po ognistych spojrzeniach, jakie dwaj współzawodnicy na siebie wzajemnie rzucali, przeczuwał sir William, że wybuch nastąpi, jeżeli on ich nie powściągnie swoją powagą; obracając się przeto do siostrzenicy rzekł jej spokojnie:

— Dobrzebyś uczyniła moja lubo Elleno, żebyś poszła do zamku, bo wilgoć w alejach; Walter cię odprowadzi.

Młoda dziewczyna przyjęła podane ramię kuzyna, i chciała z nim wrócić do Opactwa, gdy nagle obawa kłótni między Henrykiem a Miranem silnie ją zaniepokoiła. Drżącym głosem szepnęła kilka słów do ucha Walterowi, który z uśmiechem przystał na jej żądanie.

— Henry, czy nie chcesz iść z nami? — rzekł obracając się do swego przyjaciela.

— Z największą chęcią — odparł młodzian, i skłoniwszy się baronetowi i gościom jego, pospieszył połączyć się z Walterem i Elleną.

Tego już Miran znieść nie miał siły. Badawczy wzrok jego wszystko uważał: szeptanie Elleny i przyzwalający uśmiech Waltera, to go przywiodło do wściekłości; puhar goryczy już się przepełnił. Prostując się i przybierając groźną postawę, posunął się naprzód i stanął między sierotą a jej narzeczonym.

— Precz ztąd! — zawołał, a rysy jego zbrzydły od gniewu i pychy — usuń się! miss de Vere nie potrzebuje pomocy służalca!

Teraz już zniewaga zbyt była widoczna, zbyt dotykalna, aby ją milczeniem pominąć. Sir William zmarszczył czoło; na twarzach wszystkich obecnych wyczytać można było niechęć i naganę; tylko pułkownik wyglądał obojętny. Jenerał Bouchier i jego synowiec, kapitan Herbert, niemiłego doznali zdumienia; chociaż ludzie żyjący na wielkim świecie i ulegli jego przesądom, byli jednak oburzeni tą zuchwałością Naboba.

Ale uczucia Henryka Ashton wcale były odmienne. Nadeszła chwila nastręczająca mu upragnioną sposobność zmierzenia się z nadętym pychą współzalotnikiem, i upokorzenia go w oczach Elleny!

— Czy to do mnie pan Miran Musgrove stosuje nazwę służalca? zapytał głosem, który chciał ile możności spokojnym i obojętnym uczynić.

— A do kogożbym innego to stosował! odpowiedział cudzoziemiec z uśmiechem pogardliwym, zdziwiony jednak usłyszawszy nazwisko swego ojca.

— Słyszeliście go! moi panowie! — zawołał Henryk Ashton, wpatrując się weń wzrokiem szyderskim; — słyszeliście syna Ryszarda Musgrove, którego ojciec był najemnym służalcem w tym samym Carrowie, gdzie od lat trzechset liczę przodków trzymających dzierżawy i zaszczyconych poważaniem i szacunkiem całej okolicy! Ojciec tego dorobkiewicza, tego młodzika bez serca i szlachetności, żył na chlebie i łasce mojego stryja, poczciwego dzierżawcy Macieja Ashton, który był tak miłosiernym, że mu udzielił pożyczkę, dotąd nigdy nie zwróconą, aby miał o czem popłynąć do Indyi dla zrobienia losu, i gdzie, jak się pokazuje, ożenił się z byłą księżniczką Gunloru!

Słowa te Henryka wyrzeczone były z powagą i spokojnością, która wszystkich prawie słuchaczy przekonała. Ale jak krople roztopionego ołowiu spadły one na serce Mirana. Przy śmierci ojca był jeszcze dzieckiem, i nigdy nie dowiedział się o niczem co do swych familijnych stosunków w Anglii. Nie chciał więc i nie mógł wierzyć temu co usłyszał w tej chwili; cios ten był dla niego zbyt dotkliwy aby miał być rzeczywistym.

— Kłamco! — zawołał rzucając wzrokiem wściekłości na Henryka.

— Pan Ashton nie kłamie! — zawołał Dick Martin, trzymający lejcie wierzchowców Elleny i Waltera. — Znałem dobrze pańskiego ojca, a dziada jeszcze lepiej, bośmy się obydwa razem przy stajniach wychowali. On został klucznikiem a ja dojeżdżaczem. Wskutek nierzetelności utracił służbę i ze zgryzoty umarł. Wtedy to Maciej Ashton dał przytułek u siebie pozostałej wdowie i dziecku.

— To wszystko jeszcze nie dowodzi — odezwał się pierwszy raz sir William, — to nie dowód jeszcze, że gentleman, którego zachowanie się wcale nie znajduję przyzwoitem, jest synem człowieka o którym wspominasz!

Oczy krwią zabiegłe Mirana zwróciły się z wyrazem wdzięczności ku baronetowi. Bez wątpienia imię ojca jego było Ryszard Musgrove; ale nie był to dowód oczywisty, żeby małżonek władczyni Gunloru a syn ochmistrza dworu Carrowskiego mieli być jedną i tą samą osobą.

— Jego własne listy dowiodą tego! — zawołał młody Ashton, dobywając z zanadrza zwój papierów, który tego samego ranka od stryjenki dostał. — Oto jest jeden, gdzie pisze o swem zobowiązaniu względem mojego stryja, a w tym drugim donosi o swem ożenieniu z księżniczką i o zamiarze posłania pieniędzy do Anglii dla spłacenia długów wdzięczności zaciągniętych przez niego i przez jego matkę.

Sir Jasper Pepper zaczął się niepokoić. Wspomnienie pewnej okoliczności przed ośmnastu laty wydarzonej, niemile przedstawiło się w jego wyobraźni. Trudno było przewidzieć na czem się zatrzymają wyjaśnienia tego strasznego młodzieńca, i jakie jeszcze spowodują odkrycia.

— To wszystko jest prawdą, rzekł baronet

podając listy jenerałowi, — nie można mieć żadnej wątpliwości w tym względzie.

— Nie zaprzeczam, że Musgrove bardzo był małomowny, skoro go pytano o jego rodzinę, — odpowiedział jenerał Bouchier, — ale nie podejrzywałem wcale, żeby był tak nizkiego pochodzenia.

— Co jednak rzeczą jest djabelnie nudną i nieprzyjemną, zwłaszcza gdy się było tak powszechnie wziętym w Londynie i poważnym jako Nabob i książątko przez cały świat arystokratyczny! — dodał Kapitan Herbert.

Miran obrócił się ku niemu dysząc z gniewu, ale kapitan, który godzinę przedtem byłby spuścił oczy przed jego przenikającem spojrzeniem, wytrzymał je teraz z najzimniejszą obojętnością. Choćby Indyanin był tak bogaty i obdarzony wszystkiemi zaletami, które są ozdobą życia, stracił *kastę*, jak to mówią; brakowało mu już dawnego uroku. Kapitan mógłby posunąć się względem niego nawet do zniewagi, miał bowiem prawo odmówić mu *satysfakcyi*, to jest nie przyjąć pojedynku z nim jako z nierównym sobie.

Sir William Mowbray czuł, że czas położyć koniec tej scenie równie dla Elleny jak dla Mirana przykrej.

— Żegnam Pana, — rzekł do młodego Indyanina, — i jeżeli na przyszłość zrzekam się zaszczytu przyjmowania Pana w mym domu, to nie w skutek przesądów urodzenia, ani dla nierzetelności twojego dziadka, ale jedynie dla tego, że z namysłem znieważyłeś młodzieńca, który mi jest miły pod wielorakim względem, żeś zgwałcił prawo gościnności i przyzwoitości, które stanowią bezpieczeństwo społeczności ludzkiej. Poniosłeś karę surową, ale zasłużoną!

Miran nie silił się nawet na odpowiedź.

Spojrzawszy na zemdloną miss Vere wzrokiem podobnym do tego, jaki Lucyfer musiał rzucać na raj w chwili, gdy ztamtąd wypędzony został za rokosz przeciw Stworzycielowi, Miran z rozpaczą i wściekłością w sercu, puścił się drogą wiodącą ku mieszkaniu stróża zamkowego, gdzie słudzy z końmi czekali.

Miss Vere, ciągle jeszcze bezwładna prawie, została raczej zaniesioną niż zaprowadzoną do zamku na rękach swego wujecznego brata i narzeczonego, którzy ją powierzyli troskliwej pieczy mamki i mistress Jarmy. Miran-Hafaz ujrzał się na otwartym obszarze; minąwszy zwierzyniec, puścił wodze niecierpliwemu rumakowi, dozwalając mu pędzić na oślep po tym gruncie nierównym i piaszczystym, gdzie co krok prawie twarda opoka z pod piasku sterczała.

Krew wrzała we wszystkich jego żyłach z gwałtownością; został ugodzony w najtkliwsze miejsce, upokorzony przez człowieka, którego całą duszą nienawidził, w obec jedynej istoty, którą kochał. Wspomnienie zwycięzkiego wzroku Henryka, wyniosłego uśmiechu wszystkich obecnych, do ostateczności doprowadzały nieszczęśliwego młodziana.

— Zobaczymy, czy tak jest waleczny w boju jak w słowach! mruczał i zgrzytał zębami, — musi poledz z mej ręki! Rumieniec wstydu nie zejdzie z mej twarzy, dopóki śmierć jego oblicza bladością nie okryje!

Dręczony podwójnym jadem zazdrości i dumy upokorzonej, nieszczęśliwy szaleniec dłużej niż godzinę tak pędził, co koń wyskoczyć zdołał.

Dwukrotnie szlachetne zwierzę omal nie potknęło się pod nim; ale Indyanin spiąwszy konia silniej ostrogami porywał go naprzód z coraz wzrastającą szybkością. Tuman kurzawy otaczał jeźdzca i konia, którego kopyta daleko rozrzucały piasek i krzemienie po drodze.

Tak przebył Miran płaszczyznę i łąkę bagnistą, która się za błoniem roztaczała. Zbliżył się nareszcie do przylądka Carrow, którego brzeg wysoki i stromy nad rzeką się wznosił. Rumak wachał się zrobić ten skok niebezpieczny, ale szalony pan jego silnie znów go ubodł ostrogą. Łoskot ich upadku w tę głębię rozległ się głucho po falach, i za chwilę potem, koń i jeździec toczyli walkę z bystrym prądem strumienia.

Ta kąpiel wywarła skutek elektryczny na Miranie, któremu krew wzburzona do głowy uderzyła. Machinalnie prawie trzymał się jeszcze w siodle, aż wypłynął na brzeg przeciwległy, poczem dostał zawrotu głowy, i byłby upadł nieochybnie, gdyby silne ramię Willa Sidelera, strażnika królikarni, który się tam wałęsał w pobliżu, nie było zatrzymało młodzieńca.

— Co to się panu stało? — zapytał z uszanowaniem, bo hojność cudzoziemca ujęła przedajne serce starego odludka. Już sobie wyobrażał że znowu uda mu się pozyskać złoto.

— To nic, nic wcale! — odpowiedział słabym głosem Indyanin.

— Nic! — powtórzył starzec, głaszcząc boki drżącego jeszcze rumaka. — Nikt przecież nie naraża życia za nic w tak niebezpiecznym skoku! Czy pana ścigają.

— Ale gdzież znowu!

— Więc pan chciałeś kogo dopędzić?

— I to nie.

— Możesz mi pan zaufać. Jestem z tych ludzi co gotowi poświęcić ciało i duszę dla usłużenia przyjacielowi, albo zemszczenia się na wrogu!

Nagle błysnęła Miranowi myśl, że ten człowiek może się przydać. Wyobrażenia jego jednak były w tej chwili jeszcze niepewne i pomięszane, jak zwykle pierwsze zbrodnicze.

— Odprowadź mnie do sir Jaspera Pepper, — powiedział mu.

— Bardzo chętnie łaskawy panie! A czy pomówimy co jeszcze względem tej sprawy?

— Może być. — I wyjmując z kieszeni garść złotej i srebrnej monety, rzucił do kapelusza, który trzymał w ręku nędzny towarzysz jego. Ten uradowany pomyślał sobie, że warto słuchać takiego ptaszka, który takię piórka rozrzuca.

Poprowadził młodego człowieka do Bungalore-Hall, i towarzyszył mu aż niedaleko budki, gdzie mieszkał dozórca willi.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu! — rzekł wtedy Indyanin, — W tych dniach może będę potrzebował twej przysługi.

Przybył do rezydencyi letniej sir Jaspera Pepper, bardziej znużony walką i swemi złemi namiętnościami, niż szaloną jazdą, którą odbył . .

XXII.

Nazajutrz rano, kiedy Khan wszedł do pokoju Miran-Hafaza, zastał młodzieńca pasującego się z silnym napadem gorączki, którą tylko niezrównaną potęgą woli pokonywał. Zdawał się spokojny jak chwila poprzedzająca rozhukaniu burzy, albo wybuchy wulkanu, długo w łonie góry więzione; ale ten spokój tak był nienaturalny, że ci, którzy lepiej znali popędliwego Indyanina, przeczuwali, że ta spokojność pozorna była groźniejszą, niż najgwałtowniejsze uniesienie gniewu.

— Dowiedziałeś się o wszystkiem? — zapytał sędziwego sługę.

— Tak jest, o wszystkiem, — odrzekł renegat, przygotowany do wytłumaczenia, które wiedział że jest niezbędne.

— I ty wiedziałeś już dawniej to wszystko? — dodał Miran patrząc na niego przenikliwie.

— Bez wątpienia; ojciec twój nie miał tajemnic przędemną. Nie mówiłem ci nigdy o tem, by nie zadawać niepotrzebnie boleści twemu dumnemu sercu!

— Gdyby mi był kto inny zadał tę ranę dotkliwą, ale nie on, łatwiejbym ją przecierpiał... i to jeszcze wobec Elleny!

— Cóż zamierzasz uczynić?

— Zabiję go! — odrzekł Miran głosem tak spokojnym, że wydawał się raczej odbiciem jego tajemnej myśli, niż wyrazem postanowienia niezłomnego. — A jednak, cóż mi to pomoże? Będę widział wszędzie jego wzrok szyderczy, ciągle będę słyszał jego obelżywe wyrazy! Nie przestanę czuć tego ciosu, choć zgnije w grobie ręka, co mi go zadała!... Przyszlij mi kapitana Elton.

— Czy ma być twoim sekundantem? — zapytał Khan, któremu dreszcz przebiegł po całem ciele.

— Tak jest.

— Chcesz się pojedynkować?

— Rzeczywiście mam ten zamiar.

— A gdyby nie chciał bić się z tobą?

— Scigałbym go jak tchórza po całej ziemi! W twarz bym mu plunął w obecności Elleny! nogami jak psa zdeptałbym!... Ale nie, nie! on nie odmówi wyzwania; ja nie doznam rozkoszy pogardzania nim, nawet po śmierci!

Odstępca chciał coś odrzec; ale Miran niecierpliwym ruchem dał mu do zrozumienia, by zaraz poszukał kapitana.

Kapitan Elton był z liczby tych pieczeniarzy, co to przypuszczeni raz przypadkiem do lepszego towarzystwa, pozostają w niem nadal cierpiani jedynie dla tego, że nikt nie chce się podjąć nieprzyjemnego obowiązku wyrzucenia ich ztamtąd. Z gotowością przyjął propozycyę zrobioną mu przez pułkownika Mowbray w imieniu bogacza indyjskiego, i tego samego dnia pojechał do Carrow-Abbey.

XXIII.

Nie będziemy się zatrzymywać nad szczegółami rozmowy między kapitanem Elton i Walterem Mowbray, który ofiarował swemu przyjacielowi Henrykowi Ashton służyć za sekundan-

ta. Dostatecznem będzie powiedzieć, że schadzka naznaczoną została na szóstą godzinę wieczór, na błoniu, a co do broni, wybrano pistolety.

Zostawszy sam, Henry spiesznie udał się do dworku Home Farm. Nie miał-że tam ojca i matki, którzy doń tak serdecznie się przywiązali, jakby ich rodzonem był dziecięciem? Siedzieli przy objedzie, kiedy ich pieszczoszek przybył na folwark.

— A mój ty dobry Boże! — zawołała stryjenka, — Harry, cóż cię tak wcześnie sprowadza z Opactwa?

— Wyjechałem dziś rano nie pożegnawszy się z wami, — odpowiedział młodzian, — i serce moje robiło mi wyrzuty; lękam się doprawdy, że mnie popsuło wasze pobłażanie i dobroć. Niesprawiedliwa to rzecz, abyście się męczyli pracując od świtu do wieczora, kiedy ja życie pędzę wśród zabaw i próżnowania.

— Bardzo to pięknie z twej strony, mój poczciwy chłopcze! — zawołał kmieć, podając swą szeroką dłoń bratankowi; — ale zbiory już są zwiezione, a jeżeli pracujemy oboje, żona i ja, to czynimy z zamiłowania i nawyknienia, nie zaś z potrzeby; mam więc w tem pociechę! A ty baw się do woli z twymi znakomitymi przyjaciołami w zamku. Stary Marcin mówił nam, żeście w najlepszej zgodzie z sobą, ty i synowiec sir Williama.

— Rzeczywiście, kochany stryju, Walter dał mi dowody prawdziwej przyjaźni.

— W takim razie, niech go Bóg błogosławi! — zawołała mistress Ashton. — On taki zupełnie, jak stryj jego w młodości, i daleko bardziej podobny do sir Williama, niż do ojca swego. Ale mów-no Harry, co cię sprowadza? Czy przypadkiem nie potrzebujesz czego? Może chcesz pieniędzy?

— Nie stryjenko!

— Gadaj-bo chłopcze! — zawołał Maciej Ashton. — Żniwa tegoroczne obfite były. Nie lękaj się odmowy; sakiewka matki Ashton nie wypróżni się za jeden, ani za dwa razy... napchana dobrze, lepiej może niż u niejednego, co do góry nos zadziera! a wszystko to będzie twoje.

— Zapewne że tak, mój drogi Harry: choćby dziesięć razy więcej było! — dodała staruszka.

— Z trudnością mógł ich przekonać Henryk, że jedynym celem jego powrotu była chęć wynagrodzenia porannej nieuwagi względem nich, bo wyjechał bez pożegnania. Jak umiał być mężnym i nieugiętym wobec tych co mu okazywali oziębłość lub wyrządzali krzywdę niezasłużoną, tak znowu serce jego pełne było rozczulenia na głos dobroci i przyjaźni. Patrząc na tych uczciwych ludzi, co go otaczali miłością i dobrodziejstwy, wyobraził sobie boleść i rozpacz, jakie wkrótce może im sprawić, a ta myśl takim go smutkiem przejmowała, że postanowił oddalić się spiesznie z domu, by nie wzbudzić ich podejrzenia i obawy. Uściskał ich tedy z udaną wesołością, i przyjaznem wejrzeniem pożegnał także Joego Beans, który przez cały czas tej rozmowy w milczeniu spożywał swój objad.

— Nie mogę pojąć, co się stało temu chłopcu, — rzekł dzierżawca do swej zacnej połowicy, — ale spodziewam się, że nic złego. Zdaje mi się, że odkąd zaczął uczyć się po grecku, coraz mniej pojmuję jego postępowanie, ale bo też jak on dobrze i ślicznie przemawiać umie!

Serce kobiety kochającej przeczuwa prędzej niż mężczyzna niebezpieczeństwa grożące tym, którzy jej są drogimi. Niech cień tylko przyćmi ich ścieszkę żywota, to dosyć by jej troskliwość obudzić. Ten to instynkt czułości ostrzega niespokojną matkę, tkliwą żonę, kochankę lub siostrę, jeżeli cios złowrogi zagraża przedmiotowi ich miłości.

— Właśnie nie musi być nic dobrego, Macieju, — odrzekła mu żona. — Moje biedne serce coś złego przeczuwa. Harry tak do nas przemawiał, jakby nas zamierzał porzucić.

— Dziwna-bo jesteś, matko, wiecznie ci się coś przywiduje.

Chociaż zacny starzec nie był zupełnie uspokojony, nie chciał powiększać obawy swej żony i potwierdzać jej smutnych domysłów. Oddawna miał tę zasadę, by w Bogu ufność pokładać i nie trapić się przewidywaniem nieszczęścia. Dla uniknienia dalszej rozmowy w tym przedmiocie, wziął kapelusz i laskę, i wyszedł pod pozorem doglądania przy składaniu zboża do stodoły.

Zaledwie wyszedł na próg izby, gdy Joe Beans, nie dojadłszy jeszcze połowy swej porcyi słoniny, którą zwykle do ostatniego kawałka

spożywał, jako najulubieńszą potrawę, odsunął daleko od siebie talerz i zerwał się z miejsca.

— A tobie co się stało, Joe? — zapytała jego pani.

— Muszę pójść do wsi.

— A to po co?

— Powiedzcie jejmość panu, żeście mnie wysłali... — a potem dodał cicho: — Idę za paniczem, aby z nim pogadać.

I wyszedł nie czekając odpowiedzi, tak był przekonany, że gospodyni go nie wstrzyma, kiedy rzecz szła o jej ulubieńca.

Przechodząc przez kuchnię, zabrał z sobą strzelbę Henryka.

W tejże samej chwili zabawiwszy krótko na plebanii, nasz bohater zwrócił swe kroki w stronę zamku... może po raz ostatni. Chciał pożegnać się z kochanką.

— Teraz bądź stałem, serce moje, — rzekł sam do siebie. — Muszę strzedz się, by jakiem spojrzeniem, jednym wyrazem niebacznym, nie zatrworzyć tej drogiej istoty, której miłość nową odwagą i siłą przejmuje całe moje jestestwo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SMUTNE SKUTKI NIEMADREGO FIGLA.

Powiastka.

W LIŚCIE BABUNI DO WNUCZKI.

„Kochana Lucynko. Mama twoja, która mi wszystko o sobie i o was donosi, skarży się przedemną w ostatnim liście swoim na ciebie; od jakiegoś czasu masz mieć szczególne upodobanie w psotach, straszeniach, wymysłach, chowaniach, słowem, w tak zwanych figlach; bawi cię to i zajmuje, ale nieznośnem czyni pożycie z tobą; i już rodzeństwo i domowi mniej kochać cię zaczynają. Moja Lucynko, póki czas jeszcze, póki ta wada nie wkorzeni się w ciebie, popraw się, zaniechaj tych niemądrych żartów; tem więcej cię o to proszę, że lękam się, aby skłonność nie była w tobie dziedzictwem po mnie; bo wyznać ci muszę, iż w dzieciństwie mojem miałam także niesłychane upodobanie w figlach, lecz ciężko odpokutować mi je przyszło. Czytaj jak się to stało, a zapewne poprawić się nie omieszkasz, bojąc się skutków podobnych. — Trudno to dziś wystawić sobie, znając mnie starą babunią, widząc twarz moją bladą, wyschłą i zmarszczoną, suchą i nachyloną kibić, włosy białe a zęby czarne, że ja niegdyś byłam dzieckiem i dzieckiem bardzo ładnem; twarz miałam pełną, gładką i rumianą, figurkę kształtną i okrągłą, włosy czarne a zęby równe i białe jak perełki; przytem ja, która dziś tak pomału chodzę i tak poważnie napominam, usiedzieć nie mogłam na miejscu; wszędzie mnie było pełno, a w koncepta niemądre, w figle i psoty byłam nieprzebrana. Lubiłam osobliwie, tak jak i ty lubisz, chować po kryjomu rzeczy najpotrzebniejsze w domu; i czas jakiś udawało mi się tak to robić, że nikt się ani domyślił. — Chowałam się nie u rodziców, bom straciła ojca i matkę jeszcze w kolebce będąc, ale u ciotki już w wieku osoby. Ciotka była bardzo zacną, kochała mnie, i jak sobie dziś przypominam jej słowa, prawdziwie dobrze mi życzyła; ale wtedy jej napomnienia zdawały mi się zbyt ostre i częste, a czego teraz codziennie żałuję (modląc się za jej duszę przy wieczornym pacierzu), poważyłam się razy kilka jej samej wyrządzić psotę.

Tak raz wzięłam jej okulary i zarzuciłam na bardzo wysoką szafę; przerzucono dom cały, ale nikomu nie przyszło na myśl tam ich szukać, ciotka powiedziała: „Musiałam je zgubić w kościele”, i kupiła sobie nowe. Podobało mi się to bardzo. W dni kilka książkę jej do nabo-

żeństwa rzuciłam na szafę, potem woreczek z pieniędzmi, nareszcie tabakierkę złotą. Wielki hałas powstał w domu, zwłaszcza po tej ostatniej zgubie, i kto wie, czybym była potrafiła dochować tajemnicy, gdyby się właśnie tak nie zdarzyło, iż tego samego dnia, kiedy zarzuciłam tabakierkę, jakaś przyjaciółka ciotki wzięła mnie z sobą na parę tygodni na wieś. — Za moim powrotem już wszystko było cicho, tylko nie zastałam mojej piastunki Balbiny. Pytałam się ciotki, pytałam się służących, coby się z nią stało? odpowiedzieli mi: „Odprawiła się". I skończyło się na tem. — Przecież długo niezmierny żal miałam po Balbinie; ona mnie wychowała od pieluch, ona rodziców moich znała, mówiła mi o nich, i podobno na całym świecie ją najlepiej ze wszystkich kochałam. Jej oddalenie tyle nawet mnie odmieniło, żem już prawie wszelkich psot i figlów zaniechała i zrobiłam się rozsądną panienką.

Tak minął rok; w tej porze wypadło ciotce zmienić mieszkania, i zaczęły się przeprowadziny. Bawiło mnie to bardzo. Żadnego ładu nie było w pokojach, wszystko przestawiali z miejsca, wszystko ruszać było można, portrety i obrazy, które widziałam od tak dawna wiszące wysoko na ścianie, teraz stały na podłodze i dotykałam się ich sukien i twarzy, za komodami, pod sofami znajdywałam różne stare zabawki i książki, o których wiecznie zapomniałam. Właśnie cieszyłam się elementarzem z obrazkami wydobytym z pod komody, i pokazywałam go ciotce, kiedy wszedł z pospiechem służący i położył przed nami na stole zakurzone okulary, książkę, woreczek i tabakierkę. — Zadrżałam obaczywszy to wszystko.

— Któż odniósł te rzeczy? — zapytała się ciotka z podziwieniem.

— Nikt, znaleźliśmy je na szafie z sukniami, w kobiet pokoju.

— Któż je tam mógł zarzucić?

— Ja, ciociu — odpowiedziałam spuszczając oczy. Już tak dawno to się stało, żem myślała, iż nie bardzo łajaną będę.

— Nieszczęśliwa moja godzina! — krzyknęła przeraźliwie ciotka. — Niegodziwa dziewczyno, idź mi precz z oczu! — dodała spojrzawszy na mnie surowo i wpadła w płacz serdeczny, który długo uspokoić się nie dał.

Gdy przyszła do siebie, napisała dwa listy, co jej się rzadko trafiało, posłała potem po proboszcza parafii i po jakiegoś prawnika. — Widziałam po tem wszystkiem, iż stało się coś bardzo okropnego, ale nie śmiejąc się pytać i domyślając się mojej w tem winy, stałam w kąciku płacząc. Przywołała mnie ciotka po chwili i tak mówiła:

— Widzisz, jakie to mogą być okropne skutki dziecinnych psot i figlów. Twoja piastunka Balbina raz skłamała przedemną, nie ufałam jej przeto zupełnie, i kiedy te wszystkie rzeczy poginęły, posądziłam ją o kradzież. Biedna dziewczyna zaklinała się z płaczem, przysięgała na niewinność swoją, wierzyć jej nie chciałam i odprawiłam haniebnie. Może ona tam już gdzie umarła z żalu i nędzy, albo obróciła się jak najgorzej. Może już nie będę mogła wynagrodzić złego, któregoś ty przyczyną.

Jak też byłam nieszczęśliwą słuchając słów ciotki, wypowiedzieć nie potrafię, myślałam, że pęknę z żałości, przez kilka dni i nocy niemal ciągle płakałam. Ani przenosiny, ani nowe mieszkanie, nic przez długi czas mnie nie bawiło, zawsze mi stała w oczach moja poczciwa Balbina, chora, nędzna pogardzana, a jak na nieszczęście, mimo wszystkich starań i nakładów ciotki, znaleźć jej nie było można, jakby w ziemię wpadła.

Ten jej los niewiadomy, wymówki ztąd moje, gdyby kamień ciężyły mi na sercu; wyrosłam słuszna, straciłam ciotkę, poszłam za mąż, a nie było prawie dnia, żeby mi choć raz moja Balbina gorzko nie przyszła na myśl. Pojechaliśmy z mężem na zimę do Warszawy. Zaczynały właśnie wchodzić w modę kwesty po domach na szpitale, które dotąd jeszcze się utrzymują. Panny z matkami, młode mężatki pierwszego towarzystwa, zbierały się u szanownej kasztelanowej połanieckiej i tam wyciągały na losy, w której części Warszawy zbierać pieniądze mają. Mnie wypadło Stare miasto. Młoda, żywa, obchodziłam wiernie najciaśniejsze uliczki, najwyższe piętra, i jak dziś pamiętam, na Zapiecku, w małem i brudnem podwórku, na czwartem piętrze, w izdebce odrapanej, na barłogu, zeszliśmy kobietę chorą i w takiej nędzy, że widzieć ją trzeba było, żeby w nią uwierzyć. Nie stara jeszcze, ale wyżółkła, chuda, zdawała się w ostatnim stopniu suchot. Zamiast prosić ją o składkę, właśnie dobywałam kilku złotych z własnego woreczka, chcąc poratować ją, tymczasem kiedy przemówiła, Głos jej lubo słaby

i zmieniony, obił się dziwnie o moje uszy i natychmiast przyszła mi na myśl Balbina. Jakoż ona to była. Odprawiona przez moją ciotkę i posądzona o kradzież w Krakowie, gdzieśmy mieszkali, nigdzie miejsca znaleźć nie mogła, powędrowała więc do Warszawy, ale i tam dziewczyny bez doświadczenia, obdartej, bez grosza, nikt przyjąć nie chciał, puszczała się przeto na żebraninę i tak wlokła nędzne życie, odpychana, łajana, wzgardzona, póki nie zachorowała na duszność w piersiach. Wtedy jakaś rzeźniczka ulitowała się nad nią i pozwoliła jej mieszkać darmo w owej izdebce, gdzie ją zastałam, piekarz z tego samego domu dawał jej co tydzień bochenek chleba, czasem trochę mleka wyżebrała u mleczarek, kiedy się zwlekła na ulicę, i tak żyła już kilka miesięcy wyglądając śmierci. Mówiła mi, że długo, bardzo długo miała przekonanie, iż później czy prędzej wykryje się jej niewinność, ale gdy minęło lat piętnaście z górą, wątpić zaczęła, i niemało to powątpiewanie do jej choroby się przyczyniło.

Wieleby pisać trzeba, kochana Lucynko, chcąc ci wystawić wiernie wszystkie uczucia moje w czasie tego opowiadania; odgadniesz je łatwo i daj ci Boże, abyś nigdy podobnych nie doznała! Pojmiesz także snadnie, ile starań dołożyłam, dla wynagrodzenia jakiegokolwiek poczciwej Balbinie tego, co wycierpiała z mojej przyczyny, jak serdecznie wyspowiadałam się przed nią i ze łzami błagałam przebaczenia. Bóg miał wzgląd na żal mój szczery; Balbina zupełnie wyzdrowiała. Przez lat dwadzieścia była w naszym domu, nie jako sługa, ale jako przyjaciółka, na rękach moich błogosławiąc mnie, umarła; ja sama zamknęłam te oczy, które przezemnie tyle się napłakały, i pochować ją kazałam w naszym rodzinnym grobie. Przecież nie raz jeszcze mi się wydaje, iż nie dosyć jeszcze dla niej uczyniłam, i wymawiam sobie jej piętnastoletnie cierpienia. Bo nic mocniej nie cięży na sercu, jak krzywda bliźniego, i usilnie starać się powinniśmy unikać wszystkiego, co ją sprawić może. Ileżto jest ofiar niesłusznego posądzenia, które gorzej jeszcze od mojej Balbiny wychodzą! Ilu osobom zdarzyło się skrzywdzić kogo, a nie módz wynagrodzić!

Przyjmij te uwagi, kochana Lucynko, i niech ci na dobre posłuży przykład

twojej przywiązanej

Babuni.

Z DZIEJÓW KROCHMALU.

Krochmalenie bielizny weszło w modę dopiero za czasów królowej Elżbiety żony Guithama, nadwornego woźnicy królowej. Holenderka rodem, znająca sztukę krochmalenia, pozyskała łaskę monarchini i powierzonym jej został dozór bielizny królewskiej. Renoma jej rozeszła się szybko po całem królestwie i najznakomitsze damy zaczęły brać od niej lekcye. W arystokratycznych salonach krochmalono bieliznę w obec przychodzących z wizytą panów, tak jak się dziś haftuje lub gra na fortepianie. Stało się to tak modnem, że pewną Flamandkę, nazwiskiem Dinghen van der Plasse, sprowadzono umyślnie do Londynu, jako profesorkę krochmalenia. Przyjęto ją z radością i płacono jej lepiej niż dziś sławnemu tenorowi lub pianiście. Brała po 5 funtów szterl. na godzinę, co na owe czasy było sumą olbrzymią. Farbkę niebieską do krochmalu mięszano już od dawna; ale królowej Elżbiecie, gdy się podstarzała, przyszedł raz pomysł zakazać tej niewinnej przymieszki. Świat arystokratyczny nie usłuchał tego zakazu, czem urażona królowa wydała edykt następujący, odczytany w kościołach z ambon w dniu 27 czerwca 1596 roku:

Nasza miłościwa królowa niedawno publicznem rozporządzeniem rozkazała i postanowiła, żeby nikt (ani mężczyzna, ani kobieta, bez względu na stan) nie ważył się używać niebiesko farbowanej bielizny. Pomimo tego królewskiego rozkazu wielu mieszkańców tego miasta z nagannym uporem przeciw woli jej królewskiej mości odważa się publicznie ukazywać w niebiesko farbowanej bieliźnie. Z tego powodu stanowczą jest wolą i rozkaz jej królewskiej mości, żebym zawiadomił wszystkich mieszkańców gminy, aby na przyszłość nikt — bez względu na stan i płeć — nie pokazywał się na ulicy lub drodze publicznej w bieliźnie niebiesko farbowanej, jeżeli nie chce popaść w niełaskę królowej i więzieniem okupić swego wykroczenia, przyczem długość trwania kary zależeć będzie od woli królowej. Dla tego każdemu o tem wiedzieć należy, aby się na tę karę nie naraził.

„Dan w Guilhall dnia 23 czerwca 1596 roku".